Nr. 1. Rok I.



Cena prenumeraty kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincyi 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 zltr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 zlr. 40 c.

Poznań, 1 Stycznia 1871.

Redakcja przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz & Co.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Mieszkania nawodne przedhistoryczne.

przez

Dr. K. Libelta.

(Ciąg dalszy.)

c) Nawodziska w ogólności.

Trzecim nareszcie zabytkiem kultury ludzkiéj z przedhistorycznych czasów są tak nazwane mieszkania nawodne, a raczéj ich szczątki które nowszemi czasy odkryto po jeziorach i rzekach i zatokach morskich. Od dawna zapewne wiedziano o tych palach, po nad brzegami wód, gęsto w łożyska jezior i rzek powbijanych i sterczących jnż po nad powierzchnią wody, już niedosięgających jéj lustra. Ale nikt się nie domyślał starożytnego znaczenia tych szczątków, które nienawidził szczególniéj rybak, rozdzierający sobie sieci o te pale.

Dopiéro zimą 1853 na rok 1854 zdarzyło się, że gdy jezioro Zürichowskie w Szwajcarji znacznie było opadło, pomyślano na oschłym gruncie w okolicy osady Meilen wystawić mur mocny, dla przyłączenia opadłego nadbrzeża jeziornego do osady. Przy kopaniu fundamentów, w głębokości pięciu stóp, pokazały się nagłówki licznych palów, między którémi, kopiąc daléj, znaleziono rozliczne narzędzia z kamienia i z krzemienia wyrobione, jako to siekiery, młoty, kliny kamienne i inne drobniejsze krzemienne rzeczy. Gdy o tém doniesione do Zürichu, kopania odbywały się daléj pod umiejętnym nadzorem Dr. Ferdynanda Keller, i wydobyto różne wyroby z kości, z rogów, z zębów i drzewa. Napotkano na garnki i naczénia z niepalonéj gliny, na łupiny laskowych orzechów, na żywiczne czubki sosnowe. Znaleziono jako przedmioty zbytkowe jeden tylko koral bursztynowy, i jednę tylko bronzową zapinkę. Odgrzebano resztki szkieletów ludzkich, a między niemi jednę tylko przednią część ludzkiéj czaszki. Dokopano się w końcu pierwotnego gruntu jeziornego, w który powbijane były pale. Około nich i nad niemi nagromadził się czarny ił, z którego owe przedmioty powynajdywano; a cały ten pokład iłu przykryty był na łokieć grubym żółto szarym szlamem.

Było tu więc wyraźne siedlisko ludzi z przedhistorycznych czasów, i Dr. Keller pierwszy je ogłosił jako takie. Ludzie ci nie znali jeszcze użytku metali i tylko z kamieni, kości i drzewa wyrabiali sobie potrzebną broń i potrzebne narzędzia. Żywot ich odnosi się więc do okresu kultury kamiennéj.

Okoliczność ta rozbudziła ciekawość powszechną i poczęto robić poszukiwania po innych jeziorach i wodach w Szwajcarji, oraz po tych torfowiskach, które na opadłych jeziorach powstały. Natrafiano prawie wszędzie na pale i na przedmioty sięgające czasów kamiennéj, bronzowéj, a nawet żelaznéj epoki. Co dowodzi, że tego rodzaju budowle nawodne — Niemcy nazywają je Pfahlbauten czyli budowlami palowemi, a mybyśmy je nawodziskami nazwali — aż do historycznych czasów się przeciągały, i służyły za nawodne mieszkania osadom, dla których już dostępną była i kultura bronzowéj epoki, i daleko późniejsza żelaznych wyrobów, o czém jeszcze następnie mówić będziemy.

Z téj obfitości nawodzisk po całéj Szwajcarji pomiędzy górami Jura i Alpami, poczęto wnosić, że tylko w tych okolicach mieszkał lud przedhistoryczny, budujący siedliska swoje nie na lądzie, ale na wodach. Tymczasem wkrótce już pokazało się mylném takie mniemanie.

Już w dziesięć lat późniéj 1862 r. archiwarjusz Lisch ze Skwirzyny (Szwerynu), wskazał, że podobne nawodziska znajdują się i w północnych Niemczech, a w rok następny odsłonił pod wioską Gaegelow w pobliżu miasta portowego Wismar obszerne szczątki budowli palowych z resztkami kultury kamiennéj epoki

Niebawem sprowadził także profesor Desor, Bawarczyk, do Monachjum szkuciarza Benza, znakomitego poszukiwacza budowli nawodnych w Szwajcarji i polecił mu zwiedzić na ten cel brzegi jeziora Starnbergskiego. Sam udał się potém na miejsce ze sławnym zoologiem Sieboldem dla robienia poszukiwań. Na prawym brzegu jeziora trafili na ślady starożytności z czasów Rzymskich. Przejechawszy na nadbrzeża, po lewéj stronie wody, skierowali się ku wysepce zwanéj różową, na któréj w ówczas budowano letni pałac króla Maksymiljana, i wpadli zaraz na trop powbijanych pali, wysterczających ze szlamu, na trzy stopy pod powierzchnią wody, dość przezroczystéj, tak że można było pierścienie rdzenia tych pali rozpoznać. Pale widocznie ciągnęły się jeszcze pod wyspą, tak że wyspa wyraźnie jest sztucznym nasypem do późniejszych czasów odnoszącym się. Podobny przypadek nasypowych wysepek w miejscach, gdzie niegdyś stały nawodne mieszkania ludzkie, zauważano w jeziorze Inkwylowém i w isoletta de Varese, t. j. wysepce na jeziorze Warezkiém.

Obok palów wydobyto ze szlamu skorupy garncarskie z czarnego iłu, niedokładnie wypalone, a wyraźnie ręką wyrabiane, ozdobione dołeczkami od wciśnionych palcy, albo obwiedzione u góry wieńcem, palcem naznaczonym. Przy staranniejszém szukaniu pokazały się i kości; z tych większe były połupane, dla wysyssania z nich szpiku. Pan Siebold odkrył w nich kości końskie, jelenie, wole, wilcze i dzikiéj świni.

Podobne szczątki nawodzisk znalazł Siebold za pomocą szkuciarza Benza na jeziorze Chiem. A gdy zaczęto w tych miejscach szlam wydobywać, powynajdywano dość obfite okazy narzędzi kamiennych i wyrobów kościannych.

Zaczęły się odtąd mnożyć odkrycia palowych nawodnych budowli nietylko w Bawarji, ale i po wodach w północnych Włoszech, mianowicie w jeziorze Garda. W Niemczech najgorliwiéj się tym przedmiotem zajmowano i pokazały się nawodziska w Morawji, w nowéj Marchji, w Pomeranji, gdzie je zdejmował w planach prof. Virchow z Berlina, bardzo skwapliwie zajmujący się tego rodzaju archeologją. Zgoła budowle palowe, czyli jak je nazywamy nawodziska, należą dziś już do rzeczy zupełnie znanych i przyjętych za zabytki z odległych czasów kamiennéj epoki. Chodzi nam jeszcze tylko o bliższe ich oznaczenie pod względem materjału, wieku i celu, jaki mogły mieć owe mieszkania nawodne.

Wszystkie mają to wspólnego, że były budowane na palach, i że się trzymały mielizn nadbrzeżnych; a jeżeli gdzie daléj sięgały na głębią z powodu rozszerzającéj się osady, to już takie budowy do późniejszych należą czasów. Zrobiono postrzeżenie w zachodnich częściach Szwajcarji, że nawodziska na mieliznach i bliżéj nadbrzeży budowane całkiem do kamiennéj epoki odnoszą się i że nie naleziono w nich żadnego metalu; pale są o wiele grubsze i dla mielizn mało wystające z wody; — że zaś nawodziska na głębiach do 30 stóp dochodzących i bardziéj od brzegów są oddalone i przechowały nieraz obfite zbiory naczéń, narzędzi i ozdób bronzowych, a pale ich wiele są węższe i dłuższe.

Drzewo używane do tego runsztunku pod budowle, a zatém wbijane pale, i pokłady na nich, oraz pomosty — nie było obrobione, ale tylko poucinane i w końcach przywężone. Tu owdzie na podłogach trafiały się grubsze pnie, klinami na cztery części rozbite. Najwięcéj znajduje się drzewa dębowego, ale używano i drzew innych, jakie były pod ręką w bliskości. Podłogi i pomosty nie były niczém zbijane, ani nawet nie powiązane. Dziur wierconych i gwoździ drewnianych, a tém mniéj żelaznych, nigdzie nie znajdziesz. Wciskano pojedyncze pnie pomiędzy pale i nadano im tym środkiem taką spoistość, że odnalezione i bez pali jeszcze kupy się trzymały.

Pale bywały od kilkunastu do 30 stóp długie, pięć do dziesięciu cali szerokie w przecięciu. Wbijano je w spód jeziora na 5 do 10 stóp głębokości. Liczba tych pali była nieraz bardzo znaczna. W okolicy jeziora Bodeńskiego, pod Wangen, było ich do 40,000. Indziéj obliczano je na sto tysięcy. Wszakże nawodzisk tego obszaru jest mało, a wniosek byłby za porywczy, gdybyśmy z ilości palów wnosili o odpowiedniéj wielkości osady. Naprzód starych i nadpsutych palów zapewne nikt nie wydobywał, ale obok starych nowe wbijano. Powtóre chodzi o oddalenia tych pali od siebie. W przecięciu stały oddalone od siebie od trzech do pięciu stóp. Ale bywały i gęstsze i rzadsze. Gdzie spód wody był skalisty, albo za twardy, do wbijania pali, stawiano je w nagromadzone kupy kamieni i żwiru, albo przymocowywano je pokładem drzew na gruncie jeziora głazami i żwirem przyciśnionych. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

Powinnibyśmy teraz zapoznać się szczegółowo z każdą z gospodyń, lecz że na to dość będzie czasu w ciągu powieści, więc przejdźmy do innych lokatorów.

Na przeciwko drzwi prowadzących do gospodarza, znajdowały się inne drzwi opatrzone blachą mosiężną, mieszczącą napis: „Augustyn Tucki, doktór medycyny i chirurgji“.

Doktór Tucki zajmował apartament z dwoma wchodami, jednym od bramy, drugim od podwórza, złożony z trzech większych pokoi, jednego mniejszego pokoiku, przedpokoju i kuchni. Był to zatém najznamienitszy lokator Babiéj wyspy, człowiek czterdziestoletni i dosyć renomowany w swéj sztuce. Że nie był bogatym dotychczas, objaśnia się to najprzód tém, że Kraków według statystyki należy do pięciu najzdrowszych miast monarchji austrjacko-węgierskiéj, gdyż tylko Innsbruk, Zara, Salzburg i Gorycja zdrowsze są od niego. W takiém mieście mniéj być musi stosunkowo pacjentów, niż gdzieindziéj, mniéj więc intraty mogą mieć doktorzy. Z drugiéj strony liczba doktorów w Krakowie stosunkowo do cyfry ludności jest znacznie większą, niż w innych miastach, co także nie przyczynia dochodów.

Doktór miał przytém mnóstwo wydatków na głowie, bo oprócz sześciorga drobnych dzieci, przeważnie płci żeńskiéj, oprócz małżonki, pani Heleny z Papacińskich, któréj tualeta przynajmniéj dwa razy tyle kosztowała, ile średnio wynoszą wydatki na stroje żony doktora medycyny w Krakowie, oprócz służącéj, poczciwy konsyljarz łożyć musiał na utrzymanie biednych krewnych z linji własnéj i z linji Papacińskich, co w rozchodach niemałą rubrykę stanowiło i w ostatecznym rezultacie, pomimo wziętości jaką się cieszył w mieście, nie pozwalało mu nawet myśleć o zrobieniu fortuny. Kontent był z tego, że w domu było wszystko, co było

potrzebne, że pani małżonce nigdy nie brakowało na nową suknię, a dzieciom na całe trzewiki, o resztę niebardzo się troszczył, zajmując się najgorliwiéj wyszukiwaniem chorych na jakieś osobliwe, z trudnością dające się wyleczyć choroby, takich bowiem leczył z największém upodobaniem, choćby mu nietylko przyszło wyrzec się honorarjum, ale nawet dopłacać za kurację i własnym kosztem lekarstw dostarczać.

Widać ztąd, że Dr. Tucki był człowiekiem prawdziwie kochającym swą sztukę, i tém mniéj się dziwić należy, że na niéj nie zgromadził majątku

Jak doktór Tucki kochał patologię, tak pani Helena z Papacińskich lubiła hołdy i wzdychania. Kto chciał mieć u niéj względy, musiał koniecznie mieć płuca usposobione z natury lub wprawy do wciągania i wydawania z siebie większéj ilości powietrza, niż to ma miejsce u reszty śmiertelnych. Kto nie wzdychał, na tego pani konsyljarzowa spojrzéć nawet nie raczyła, kto posiadał tę sztukę, kto na każdym kroku potrafił coś przyjemnego i schlebiającego miłości własnéj powiedziéć, ten był zawsze bardzo mile widziany. Względy te przecież nie były nigdy długotrwałe i nic nie było łatwiejszego jak je utracić, nieraz bezpowrotnie. Dość było w obec pani Tuckiéj odezwać się z nieoględną pochwałą jakiéj piękności znajoméj jéj lub nieznajoméj. Pani konsyljarzowéj ustępowała natychmiast krew z warg i żywym rumieńcem wybijała się na policzki, z ust mimowolnie wydzierał się jakiś sarkazm na intencję pochwalonéj, a ten kto się podobnéj zbrodni dopuścił, stawał się odtąd jéj zdeklarowanym wrogiem.

Pani Helena z Papacińskich, konsyljarzowa Tucka, chociaż już od lat kilkunastu zamężna i przyznająca, że jéj trzydziestka się zbliża, była jeszcze osobą mogącą się mierzyć potęgą wdzięków z pannami Rękalskiemi, to jest była jeszcze nie brzydką, a że o każdéj niebrzydkiéj i lubiącéj hołdy kobiécie krążą plotki po Krakowie, więc i o niéj krążyć musiały. W plotkach tych opowiadano naturalnie wiele złego, w rzeczywistości za to było go tak mało. jak tylko żądać można, rzeczywistość bowiem ograniczała się na samém upodobaniu w hołdownikach, którzy jednak za swe wzdychania tylko uprzejméj rozmowy i obfitego częstunku mogli się spodziewać, nigdy zaś łaski pani Tuckiéj nie posuwały się daléj.

Oprócz dwóch frontowych mieszkań, o których już mówiliśmy, były jeszcze w głównym budynku Babiéj wyspy dwa lokale, jeden kawalerski, drugi familijny.

Do kawalerskiego wchodziło się z bramy, a leżał on po téj stronie, gdzie mieszkali państwo Tuccy. Lokal ten składał się z jednego pokoiku dosyć obszernego i widnego, z oknem na podwórze, i w chwili rozpoczęcia powieści naszéj był niezajęty, gdyż zajmujący go przedtém profesor, przeniesiony przez radę szkolną do Lwowa, opuścił kilkanaście dni przedtém Babią wyspę, nie pozostawiwszy na niéj nic, nawet serca u któréj z panien Rękalskich na uwięzi.

Po stronie gospodarstwa, z wchodem od podwórza, były jeszcze w frontowym budynku dwa maleńkie pokoiki z kuchenką, które zajmowała panna Petronela Majerańska, daleka krewna Rękalskich, z młodziuchną, czternasty rok dopiéro rozpoczynającą siostrzenicą Kazią, dzieckiem jak mówiono nad wiek rozwiniętém, co było niezawodną prawdą, jeżeli niepohamowana ciekawość jest barometrem umysłowego rozwoju.

O stworzenie ciekawsze nad małą jeszcze, nieładną ale filuterną Kazię trudno było nietylko na Babiéj wyspie, ale nawet na całém przedmieściu. O każdéj tajemnicy domowéj Kazia pierwsza dowiedzieć się musiała, w czém jéj wiele pomagało to, że korzystając z przyznawanego sobie jeszcze charakteru dziecka, wszędzie gdzie chciała wcisnąć się potrafiła, i wszystko czego się dowiedziała mogła bez skrupułu powtórzyć.

Inaczéj pod kierunkiem cioci Petroneli Kazia wykształcić się nie mogła, ciocia Petronela bowiem była osobą, w któréj życie także najwięcéj rozwinęło przymiot czy wadę ciekawości.

Była to osoba, osoba, która się już sama uznawała za starą pannę i zrezygnowała z nadziei małżeństwa, nie bez żalu naturalnie, była bowiem, zapewne nie z żadnego innego powodu, nader melancholiczną i smutną.

Stare panny dzielą się na dwie kategorje, o czém niebardzo wiedzą ci wszyscy, co o starych pannach bądź drobne humoreski, bądź tomowe pisywali powieści. Są w ich liczbie takie, którym się nigdy nie trafiało pójść za mąż, są inne. które miały bodaj raz w życiu sposobność do zmienienia stanu, i tylko, albo z własnego kaprysu, z nadziei przytrafienia się lepszéj partji, albo z winy okoliczności zbyt potężnych ze sposobności téj nie skorzystały

Do pierwszéj z tych kategorji należała panna Petronela, do drugiéj miały należéć panny Rękalskie, jeżeli było im przeznaczono przyznać się do staropanieństwa, wprzód nim się znajdzie w Krakowie trzech archeologów na wydaniu.

Ktokolwiek zechce się bliżéj zastanowić nad kwestją staropanieńską, przyzna wraz z nami, iż taka różnica w dziejach młodości musi wywierać wpływ nadzwyczaj ważny na charakter starych panien. Pierwsze mają żal do całego świata w ogóle. że się na nich nie poznał, drugie do siebie tylko, jeżeli w danych okolicznościach zgrymasiły, lub do tych tylko ludzi, którzy im w zamążpójściu stanęli na drodze. Pierwsze w rozpamiętywaniu swojéj przeszłości nie znajdują żadnéj pociechy i widzą się skazanemi na staropanieństwo od kolébki, — drugie w przykrościach z jakiemi koniecznie jest połączoną samotna starość, mogą myślą pobiedz w przeszłość i powiedzieć sobie:

— Mój Boże! byłoby to inaczéj, gdyby nie to albo owo.

Słaba to jest prawda pociecha, ale zawsze lepsza niż żadna.

Ztąd o stare panny ze znośnym, a nawet z przyjemnym charakterem daleko łatwiéj w drugiéj kategorji jak w pierwszéj, ta bowiem w całéj ludzkości widzi uosobionego swego nieprzyjaciela, w każdém szczęściu bliźniego cząstkę skradzionego sobie szczęścia.

Ciocia Petronela nie miała w swéj młodości ani jednéj takiéj chwili, do któréjby się mogła odnieść w swoich dumaniach i powiedzieć sobie:

— Gdybym była w owym czasie chciała, lub gdyby mi ci i owi nie przeszkodzili, byłabym dzisiaj tém, czém kobiécie w moim wieku być przeznaczono.

Charakter jéj wyrobił się pod wpływem téj próżni, tego braku w dziejach lat młodych.

Stara panna, któréj się trafiało pójść za mąż, może z niejaką podstawą przypuszczać, że owa sposobność przytrafi się raz jeszcze, ma więc przed sobą jakąś nadzieję i dla téj nadziei jakiś grunt. Ale na czém się ma oprzeć taka nadzieja w umyśle nieszczęśliwéj istoty, do któréj serca nikt nie zakołatał nigdy?... Stara panna z téj kategorji musi więc zazdrościć nawet koleżankom swoim z drugiego działu dziewic doletnich, musi o nich mówić:

— Szczęśliwe!... gdybym ja była na ich miejscu, w ich położeniu, nie byłabym grymasiła i przebierała, a gdyby okoliczności były przeciwne, tobym je zręczniéj od nich potrafiła pokonywać i z pewnością nie zostałabym starą panną.

Będąc w takiém położeniu, patrząc na siebie jako na jedyny w społeczeństwie wyjątek, uważając się za nieszczęśliwszą od tych nawet co takiemu jak ona losowi uległy, stara panna z pierwszéj kategorji przyzwyczaja się patrzeć na rzeczy tylko ze względu na ich stósunek do niéj i powoli traci zdolność do wszel-

kiego przedmiotowego na świat poglądu, staje się subjektywnością uosobioną.

Tak też i panna Petronela, mając ciągle siebie i swoje położenie na myśli, wszystko co widziała lub o czém się dowiadywała porównywając ze swym losem, wpadła w rodzaj melancholji, któraby się mogła rozwinąć w straszną chorobę, gdyby z melancholicznych zadum nie wyrywało jéj od czasu do czasu inne, również chorobliwe usposobienie — ciekawość, która się udzieliła jéj młodéj siostrzenicy i do tak wysokiego rozwinęła się w niéj stopnia.

Za młodu panna Petronela nie była bynajmniéj tą namiętną ciekawską, jaką ją teraz poznajemy. Było to dziewczę, jakich wiele, nie górujące nad innemi ani wdziękami, ani wiedzą, owszém, pod względem pierwszych dość skąpo uposażone, ale ciekawe tylko o tyle, o ile rozsądny człowiek ciekawym być powinien, wiadomo bowiem, że rozsądna ciekawość jest kluczem wszelkiéj mądrości.

Gdy jednak lata biegły, rówiennice wychodziły za mąż, w pannie Petroneli naturalnie zrodziła się myśl, że i na nią koléj przyjść musi, i zaczęła się interesować codzień żywiéj tém wszystkiém, co jéj wróżyć mogło, że owa koléj się zbliża.

Mówiła sobie raz z tego, drugi raz znów z innego powodu:

— Otóż i czas mój nadchodzi...

Nadzieje te jednak okazywały się złudnemi, rozwiewały się prędko i trzeba je było na coraz inne fakta, okoliczności i osoby przenosić.

Tak, powoli, rozdrabniała się uwaga panny Petroneli na najrozmaitsze rzeczy, ćwiczyła się jéj wyobraźnia w przyjmowaniu najobojętniejszych w świecie wypadków za wskazówki bliskiéj konkurencji o jéj rękę i niedalekiego zamążpójścia.

Z czasem doszło takie usposobienie do pewnéj potęgi, któréj już biedna ciocia nie mogła uwięzić w własném łonie, która potrzebowała wylać się i objawić na zewnątrz. Rówiennice wszystkie za mąż powychodziły, biedną ciocię wstyd było, że ona nie poszła, trzeba się było pochwalić przed ludźmi ze swemi nadziejami i widokami.

To też ciocia, ilekroć sobie upatrzyła coś, z czego wnioskowała, że jéj koléj się zbliża, opowiadała to zrazu w zaufaniu najbliższym przyjaciołkom, potém dalszym znajomym, potém każdemu kto chciał słuchać czy nie chciał...

Ale nadzieje panny Petroneli gruntowały się niekiedy na bardzo odległych przypuszczeniach. Ktoś przeszedł parę razy koło jéj okna i spojrzał w nie, panna Petronela drogą kojarzenia się wyobrażeń szła już z tym ktosiem aż przed ołtarz i zalana łzami szczęścia i trwogi ślubowała mu miłość, wierność, posłuszeństwo... Przez dwadzieścia cztery godzin była najmocniéj przekonaną, że tak jak sobie wywnioskowała być musi, że tak jak sobie wróżyła stanie się najniezawodniéj. Czuła nieprzepartą potrzebę wywnętrzenia się z tą nadzieją przed temi, co się może w duchu dziwili, iż wszystkie panny za mąż wychodzą, a ona ciągle pozostaje na koszu, chciała im powiedzieć, że przecież i dla niéj jest nadzieja...

Ale jakże tu przedstawić fakt w całéj jego prostocie?... jak tu się przyznać przed obojętnemi, że cały gmach nadziei, tak śpiesznie wzniesiony ale tak piękny, ma za jedyną podstawę przejście dwukrotne koło okna jakiegoś nieznajomego; przejście połączone z przelotném, może mimowolném spojrzeniem?... Trzeba to było jakoś ubarwić, nie dla tego, żeby ludzi okłamać, ale żeby słuchali z takiém przekonaniem, z jakiém opowiadała panna Petronela.

Poczciwa ciocia zatém ubarwiała rzeczy niewinnie...

W długiém życiu stawało się to wszystko coraz bardziéj, coraz widoczniéj chorobą chroniczną jéj umysłu, nałogiem, wadą, śmiesznością...

O czémkolwiek posłyszała, natychmiast z tego wysnuwała wnioski, wnioski swoje uznawała za rzeczywistość i jak rzeczywistość z głęboką powtarzała wiarą. Z początku interesowała się tylko rzeczami mającemi prawdopodobny związek z jéj możebném zamążpójściem, późniéj zaczęła się interesować wszystkiém, a przy rozproszeniu uwagi na tysiące najbardziéj drobnostkowych rzeczy nie mogła dziś pamiętać czém była wczoraj zajętą i z najzimniejszą krwią, z najdoskonalszą dobrą wiarą zadawała nieraz kłamstwo saméj sobie lub drugim, gdy się powoływali na rzeczy, których ona była świadkiem naocznym.

Takie to rzeczy robi życie z ludźmi, gdy się uweźmie uczynić ich na starość śmiesznemi, a ludzie patrząc na śmieszność śmiać się z niéj tylko umieją zazwyczaj, i niejeden ani pomyśli, że to co w nim śmiech budzi, jest może ostatnią kartką smutnéj i bolesnéj historji zwarzonego życia i zawiedzionego szczęścia! —

W podwórzu, w oficynie po prawéj stronie, skromny lokalik z trzech małych pokoików złożony zajmowało młode małżeństwo. Mąż był dziennikarzem czy literatem, czy też jedném i drugiém razem. W Krakowie dziennikarze i literaci, słowem ludzie uczeni, naukowi lub pracujący umysłowo nie należą bynajmniéj do rzadkości. Kto dokoła obejdzie rynek, a nie spotka ich najmniéj sześciu, to się musiał wybrać na tę przechadzkę albo w dzień jakiś bardzo niepogodny, albo o godzinie powszedniego posilania się mieszkańców starego grodu chlebem powszednim. Nie był więc osobliwością pan Porwicz na Babiéj wyspie, ale był osobliwością w swoim gatunku, to jest w tym rodzaju ludzi, do którego należał. Literaci nasi w ogóle, a Krakowscy w szczególności, niebardzo lubią przysiadywać fałdów; każdy z nich przytém, z nielicznemi wyjątkami, traktuje literaturę jako zajęcie mające zapełnić wolne chwile; każdy wreszcie ma jakąś specjalność: jeden pisze dla ludu, drugi dla dzieci, trzeci dla salonów, czwarty dla czytelników klas średnich; ten tworzy poezje, tamten dramata, ów powieści, inny rzeczy ciężko uczone, inny nakoniec kompiluje tylko albo tłómaczy.

Pan Porwicz nie należał do żadnéj z tych kategorji, a raczéj należał do wszystkich. Pracował od rana do nocy, aż mu cera zżółciała, policzki wychudły, przygarbiły się plecy, wzrok osłabł; nie miał żadnego innego zajęcia prócz literatury i innych dochodów, prócz tych jakie mu ona przyniosła na utrzymanie żony i córeczki, a wreszcie nie miał żadnéj specjalności. Powieść czy dramat, wiersz czy proza, artykuł historyczny czy z zakresu nauk przyrodniczych, humorystyczny czy poważny, dla wiejskiéj chaty czy dla pałacu, wszystko to wychodziło z pod jego pióra po kolei, stósownie do zażądania owych nielicznych ludzi, którzy w Galicji mogą żądać podobnych rzeczy z zamiarem zapłacenia za nie. A że cała Galicja z Krakowem i księstwami nie miała tych ludzi tylu, aby mogli spotrzebować wszystko co pan Porwicz napisać był zdolny, więc prace jego szły do Poznania, do Warszawy i gdziebądź je umieścić było można.

Tym sposobem, szeroko rozwinąwszy swoją działalność, pan Porwicz miał zawsze dużo roboty, a wszystko co robił, robił z pewnością nie genjalnie, ale sumiennie i zdolnie.

Gdyby w parze z pracowitością i wartością wyrobu szły w literackim fachu dochody, pan Porwicz miałby się bardzo dobrze, ale to u nas tak nie bywa. Są nakładcy tacy i inni. Jedni mają z czego płacić, drudzy nie mają, pierwsi płacą albo nie płacą drudzy obiecują płacić albo nie obiecują, dochód więc literata składa się z zapłaty od połowy mających z czego płacić, którzy rzeczywiście płacą, i z obiecanin od téj połowy nie

mających czém płacić, która przyrzeka, że zapłaci. W takim stanie rzeczy chcąc żyć z pióra trzeba pisać wiele, chcąc pisać wiele, trzeba pisać taniéj jak inni, a chcąc pisać tanio, nie trzeba się dziwić, że czasem biéda złoży w domu wizytę, i nie będzie tak delikatną, aby krótko gościć chciała.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DO WARSZAWIAN.*)

Gdy komu dom się spali, gdy dzieci w żałobie,
Widząc, że matkę żywcem pochowano w grobie,
Chcą ją wydrzeć, wygrzebać choćby paznogciami,
Gdy ręce pracowników krew gorąca broczy,
A o wsparcie ku niebu wznoszące się oczy,
Boleści palącemi zachodzą im łzami:
Gdzież syn taki, co w ciężką boleści tych chwilę,
Przypomniawszy, że święta, co leży w mogile,
Miała drogi naszyjnik, z perłami cudnemi,
Schyliłby się i szukał po krwią zlanéj ziemi
Rozsypanych ostatków matczynéj spuścizny?
Bracia! to my tak stoim na grobie Ojczyzny,
To my tak w obec Boga, sumienia i świata
Dźwigamy głaz mogilny, co jéj pierś przygniata,
I chociaż rozsypane ze swéj nici złotéj,
Leżą sztuk naszych perły, narodu klejnoty;
Gdzież jest syn, polskie serce mający wśród łona,
Coby śmiał je pozbierać? Matko umęczona!

Ale oto nasz ojciec! Ten nasz pan łaskawy!
Co nam braci zabijał na bruku Warszawy,
Co nam lud nasz ogłupił, pozamykał szkoły,
Kapłanów okuł w więzy, zniweczył kościoły!
O ziemio nasza piękna! — roztroskał się wreście
I w żałobą okrytém, krwią oblaném mieście
Dawszy nam instytutu muzycznego gamy,
W teatru odświeżone zaprasza nas bramy!

Prawda, że odświeżone, — bo gdzie tam na mury
Padła krew męczenników, jak freska purpury,
Tam wszędzie wybielono, wyczyszczono wszędzie,
A kto tam w jedném krześle z wrogami zasiędzie,
Poczuje jak poduszki sprężynami słane.
Ha! twardsze, twardsze było owo dno wiślane,
Gdzie tyle ofiar legło na spoczynek...

Lecz cicho, myśli moja! od takich wspominek,
Od takich to obrazów chcąc cię chronić właśnie,
Stary gmach zapomniany rozgorzał tak jaśnie,
Gdzie może świętokradczą stawiając przynętę,
Ojców naszych postacie wyprowadzą święte,
I odziawszy ich blasków szychowych świecidłem,
Każą im być skarlałych potomków mamidłem!

Bo zaliż przed moskiewskich siepaczy obliczem
Przemówią do nas owym głosem tajemniczym,
Którym przez usta wieszczów duch mówi do ducha?
Nie bracia! Gdzie w orderach szpieg cesarski słucha,
Tam się naszéj przeszłości nie odzywa mowa:
Idźcie na błoń Racławic, na pola Grochowa,
Padnijcie na tę ziemię bratnią krwią zbroczoną,
A kiedy doń bijące przytulicie łono,
Kiedy się weń wpijecie łzami gorącemi,
Duch ojcowski zagada z téj święconéj ziemi,
I powie, że jak Oni przed bitwy momentem,
Krzepili się krwi Pańskiéj świętym sakramentem
Tak my w cichéj modlitwie skupionego ducha,
Winni brać siłę żrącą okowy łańcucha.

*) Wiersz ten odnosi się do chwili, kiedy po krwawych dramatach, odegranych na ulicach Warszawy, chciano ugłaskać mściwą myśl narodu otwarciem teatrów i instytutu muzycznego. Mimo czasowego znaczenia uważaliśmy za nasz obowiązek dla szczególnéj jego wartości ocalić go od zapomnienia, które spotkało tyle arcydzieł z owéj epoki. Z ważnych względów zamilczamy nazwisko genialnéj autorki — snadno zresztą odgadnąć ulubione narodowi pióro.

Przyp. Red.

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiém w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

I have been in Corisande's garden, and she has given me a rose.

Disraeli.

„Byłem w ogrodzie Korysandy — wymówił Lothair — i dała mi różę.“ — Tak kończy Disraeli swoją pięknie napisaną, rozgłośną powieść.

A ja zaczynam: Mieszkałam w Warszawie i nader miłe na zawsze dała mi wspomnienie. — Zaznałam w dawnéj Wazów stolicy zacność, szlachetność, poczciwość — podniosłe obowiązku poczucie — miłość gorącą dla kraju i współbraci. Zamiłowanie języka i piśmiennictwa naszego. Pracę na niwie inteligencji ojczystéj: pracę — i walkę o nią i dla niéj! — A doznałam osobiście życzliwości szczeréj i objawów przyjaźni rzadkiéj. Nadto, ileż to tam godzin — ile wieczorów przebyłam wesołych! — O łzach i bólach — onych cierniach żywota dotkliwych — krwawiących — tutaj nateraz mówić nie będę. Raczéj pragnę tylko światlejsze w pamięci pochwycić smugi — gwiazdki niebieskie, niezabudki i róże.

Lubię wprawdzie we wszystkiem dodatnią tylko chwytać stronę, i tę jeszcze zwykle własną zbarwię i dopełnię wyobraźnią. Jest mi z tém jakoś dogodniéj — spokojniéj — błożéj. Może to i przez pewien rodzaj... duchowego lenistwa — a może téż przez... zbyt dobrą wolę — i życzliwość dla ludzi. Sama odgadnąć nie potrafię. Więc też wolę w drugie uwierzyć, choćby tylko przez wrodzoną nam dla siebie samych pobłażliwość. — Zatém towarzystwa warszawskie nieskażony na zawsze dla mnie pozostawiły urok. Lubo, że nieraz i przygan pod tym względem posłuchać musiałam, — jak to zwyczajnie bywa wśród ludzi zdań różnych — a jeszcze różniejszych uwidzeń — niekiedy wszelako i z ważnych powodów — i z przyczyn niezbitych.

Pamiętam, wychodziliśmy raz z mężem z salonu państwa * — już o porannéj godzinie. Szron zlekka drzewa ogrodu saskiego posrebrzył. Niebo zróżowiało od wschodu. Po ulicach wieśniacze przeciągały wózki. Mleczarki przydążały i przekupnie. Praca i zabieżność już się krzątały — a myśmy dopiero gwarną opuścili

zabawę i... na spoczynek dążyli! — Dotknięta niezbyt przyjemnie tą myślą, głośno uwagę swoją wypowiedziałam.

— Rzecz powszednia, pani — ozwał się na to nasz towarzysz i przyjaciel, Bogdan Dziekoński — tak bywa zwykle: marnowanie czasu obok skrzętności, bo jedni go mają na poziewanie za wiele, a drudzy za mało, by potrzebom życia zaradzić; próżniactwo obok nieustannéj pracy; ciężar żywota obok płochego gonienia... za wiatrem, za szczęściem. A wreszcie nędza i głód, obok zbytków wymyślnych...

— Jakież to ponure obrazy! zawołałam i to z wesołego wychodząc salonu.

— Właśnie też dla tego... i wiem, że mnie pani zrozumiesz.

— Myślę wszelako, żeś pan także kilka godzin przyjemnie spędził, lubo, że namówiony poszedłeś tylko.

— Tak, prawda.. niby jaśniéj mi było przez chwilę. i to gniewa mnie właśnie — odrzekł półgębkiem i za wąs targnął.

— Wykonanie Bethowen'a było przecudne. Śpiew ze Stradelli prześliczny. A przytém rozmowy ożywione, pełne interesu i dowcipu.

— Było to wszystko! — stłumił westchnieniem — Bethowen, Stradella... Poezje na gruzach!...... A ja własném patrzyłem się okiem i uchem duszy w rozterce słuchałem — ściągnął białe rękawiczki, rwał je na kawałki i rzucał

— Co pan robisz? zawołałam znowu.

— Radbym tak podarł przysłonę fałszywego położenia społeczności dzisiejszéj — odrzekł autor Sędziwoja — złudę, pozłotę i wsteczność. Nie mówię o dzisiejszém zebraniu, nie mówię wyłącznie o nikim.. bo mnie całość boli. — Niechaj każdy, jak może, zrywa kwiaty do wieńca żywota: swoboda umysłu i pogoda ducha wielkim nieba są darem, a korzystać z nich okowiązkiem nawet. Mnie wszelako długo zapewne świetne nie ujrzą salony... a może już nigdy! — i porzucił ostatni kawałek białéj skórki w kałużę stopniałego szronu

— Mój panie! — poszepnęłam.

— Może zbyt cierpko rani mnie wszystko — ciągnął Bogdan Diekoński daléj — może omylnym patrzę się wzrokiem i stępionym chwytam słuchem... Ale, nie mogę inaczéj, bo w łonie mojém gorzka wre boleść.

August dłoń jego uścisnął. A jam na oczy zaciągnęła kapturek, by od rannego powiewu łzawą zasłonić źrenicę.

Przechodziliśmy właśnie obok smutnéj pamięci pomnika na Saskim dziedzińcu.

Piątkowe wieczory pani Katarzyny Lewockiej.

Gdyśmy zamieszkali Warszawę — roku 1842 — głośnemi podówczas były salony: pani Lewockiéj, pani Niny Łuszczewskiéj, wojewodziny Nakwaskiéj i t. d. — Zwłaszcza też trzy wymienione gromadziły wszystko, co tylko Warszawa miała inteligentnego — a zarazem i tak zwany wielki świat stolicy. — A jakkolwiek pewnie salonowi pani Recamier, Rambouillet, du Deffant, i późniejszemu pani Emilowéj Girardin nie dorównały — boć Warszawa to nie Paryż, zwłaszcza też Warszawa w obecnych stósunkach — to wszelako mogły przypomnieć tamte. — Spotykali się tam uczeni, poeci, artyści — i to artyści wszelkich gałęzi sztuki, bo także i artyści dramatycznéj sceny warszawskiéj. Nadto i świat elegancki — młodzież złota — i panny na wydaniu.

Nigdy nie zapomnę mojego pierwszego występu — że się tak wyrażę — w salonie pani Lewockiéj. Było to po ukazaniu się pierwocin powieści moich: Wieś i miasto.

Biblioteka warszawska udzieliła mi zaszczytnéj gościny w łamach swoich, zamieszczając malutką powiastkę: Rozyna — czém otworzyła mi zaraz przybytek księgarski, że i nietrudno było znaleść nakładzcę w panu Leonie Glücksbergu.

Jednocześnie ukazała się i pierwsza ramotka Augusta — Wspomnienie szkólne — także w Bibliotece warszawskiéj, czyniąc talent jego niemal rozgłośnym od razu. Weszliśmy zatém w świat literacki i towarzyski Warszawy.

Pani Lewocka, pełna uprzejmości, przyjęła mnie sympatycznie nader — i ochoczéj dodała otuchy. Wielkiéj wprawy towarzyskiéj, czyniła na mnie wrażenie osoby, budzącéj wdziękiem prostoty zaufanie. Odwiedziła mnie w dni pare potém — i zaprosiła nas raz na zawsze na piątkowe weczory.

Nadszedł tedy ów piątek pierwszy. Z bijącém sercem weszłam po wschodach pawilonu Kazimirowskiego pałacu. Przy drzwiach salonu powitała nas poważna postać gospodarza domu — znanego w świecie uczonym. Pani Lewocka mile uśmiechnięta, powiodła mnie do koła pań kilku. Pomiędzy niemi była i zacna siostra niezapomnianéj nigdy Klementyny Tańskiéj — pani Tarczewska. Całe to grono nader uprzejmym wyrazem młodą powitało autorkę — i w jednéj oswoiły i przyswoiły mnie chwili.

Córka i syn gospodarzy domu — pan Józef i panna Helena — byli rodzicom pomocą w przyjmowaniu gości.

Po godzinie ósméj salon ożywiać się począł — i zapełniło go niebawem wszystko, co Warszawa znakomitego w swoich murach mieściła. Spotkałam tamże wtedy po raz pierwszy pana Augusta Cieszkowskiego — autora znakomitego i wielkiego rozgłosu dzieła wydanego przed laty pare: Du crédit et de la circulation. Daléj głębokiéj nauki: Prolegomena zur Historiosophie, Gott und Palingenesie — i O filozofji jońskiéj. Nadto leżała na stole i praca jego O ochronkach wiejskich.

Pani salonu przedstawiła mnie jeszcze kilku paniom — i przedstawiło mi się kilkunastu mężczyzn. Pomiędzy tymi szczególniéj zwrócił uwagę Aleksander Tyszyński, autor Amerykanki w Polsce — i względny krytyk powieści moich. — A byli tam: p. p. Michał Baliński, znakomity historyk, Feliks Zieliński, Leon Potocki, Antoni Czajkowski, poeta, Józef Paszkowski, poeta, Józef Paszkowski, pułkownik, mąż zasług wielkich i prawości wielkiéj. Zacna małżonka jego i malarka umiejętna — na któréj obraz, przedstawiający zamek krupski, darowany mi na pamiątkę, patrzę się właśnie. Szabrański, redaktor Biblioteki warszawskiéj, poeta. Edward Dembowski i Skimborowicz, redaktorowie Przeglądu naukowego, Franciszek Gąsiorowski, znany z dowcipu, Tymoteusz Lipiński, Baranowski, astronom, panna Józefina Osipowska, autorka Księżniczki Słuckiéj, Ludwik i Cypryan Norwidowie, i tylu, tylu innych.

Liczne zebranie rozdzieliło się na grupy. Gwar wesoły, ożywiony szerzył się w koło. — Do mnie panie zagadywały o powieściach moich i musiałam z niejednego otwartą zdać sprawę. Lecz było mi z tém i dobrze — bom w ich zapytywaniach raczéj sympatję, a nie grzeczną tylko odgadywała ciekawość.

Wtém zbliża się pani domu, uśmiechnięta obejmuje mnie i szepce do ucha: „Pan Leon Potocki mówił mi właśnie: „„Czyliż podobna, że to młode stworzenie już sto powieści zrodziło?““ —

Była to opinja, którą mi mój humorystyczny zrobił małżonek — a jeden z redaktorów rozgłosił. — Rozśmiałam się z rumieńcem lekkiego pomięszania na licu. Pan Leon Potocki stał opodal i uśmiechnął się

także, znać wiedział, że to o nim pani Lewocka mówiła. — Pan Leon był synem jenerała Stanisława (Stasia) Potockiego Poeta, powieściopisarz, recenzent — i jeden z redaktorów Biblioteki warszawskiéj. Autor nader zajmującego opowiadania: Święcone w pałacu Potockich — do którego treść podała mu pani Lewocka. A daléj jeszcze: Wilczek i jego pięciu synów — i wydanych w latach ostatnich Pamiętników Kamertona.

Po chwili przybyła pani wojewodzina Nakwaska, wielkiéj powagi niewiasta — autorka Czarnéj mary itd. itd. — Sędziwa, z przygasłym już nieco wzrokiem. Dowcipne jéj odpowiedzi krążyły nieraz po Warszawie. Polka całém sercem i duszą, bolała nad tém, na co patrzeć się musiała — a prawdomowna, szczera i odważna, zwykła karcącém słowem każdą zdrożność i wsteczność — każdy przeciw-narodowy ukarać objaw.

Pani wojewodzina zagadała do pana Augusta Cieszkowskiego o jego pracy O ochronkach wiejskich. A znać nie całkiém do jéj przekonania przypadła, bo siedmdziesięcioletnia pani pewnie inne miała zapatrywanie Uczony autor Prolegomena zur Historiosophie nic nie odpowiedział — i skłonił się w milczeniu. — Zdziwiło mnie wszelako niemało, gdy jedna z bogatych dziedziczek dóbr rozległych, wskazując tę książkę wyrzekła:

— Takie ochronki mogą urządzać dziedzice na jednéj wiosce, ale kto ma dobra tutaj, na Wołyniu i w Galicji, to niepodobna, by mógł zajmować się nimi.

Nikt jéj nie odpowiedział, bo właśnie drzwi otworzono i ukazała się wysoka, barczysta postać w mundurze pułkownika rosyjskiego Spojrzałam się zdziwiona. Wojewodzina wyciągnęła ku niemu rękę, a jedna z pań obok poszepnęła: „Nasz bard, nasz wieszcz, pan Albert Potocki!“ — Poeta, powieściopisarz, wzięty w młodzieńczym wieku nagle — za objawy zbyt gorącego patryotyzmu do wojska jako prosty żołdak. Zesłany na Kaukaz, gdzie po latach długich służby ciężkiéj i cierpień wyższéj wojskowéj dosłużył się rangi, gdzie poznał Apostoła Murawiewa — skazańca — piszącego prześlicznie pod pseudonymem Marlińskiego. Więc też z współczuciem po raz drugi spojrzałam się ku niemu i spotkałam dobroduszne, pełne sympatycznego wyrazu oblicze. Za powrotem od lat podobno niewielu do kraju, pan Albert w krótkim czasie na horyzoncie piśmiennictwa naszego zasłynął Napisał krytykę przekładu niektórych dramatów Szekspira, przez Kefalińskiego (ks. Hołowińskiego), którego Akefalińskim nazwał. Drukował przełożone poezje z języków tureckiego, perskiego itd. itd.

Usiadł przy naszym stole. Wojewodzina zapytała, czyli nic z sobą świeżo-stworzonego nie przyniósł Uśmiechnął się i wyciągnął welinowy arkuszyk.

— Do Kraszewskiego — wymówił.

— Wiersz do Kraszewskiego! powtórzono w koło, i wszystko cisnąć się poczęło.

Poeta przeczytał nam wiersz zgrabny, gładki, napisany z dobrodusznym humorem, w którym przemawia do twórcy Świat i poeta, ażeby tak wiele nie pisał!

Mnie zrobiło się chmurno i przykro, żem aż głowę spuściła. Nie zważałam nawet na czynione uwagi i pochwały. Potém obejrzałam się za Augustem, czyli coś na to nie powie. Nie było go, bo właśnie z kilku paniami na drugim końcu salonu rozmawiał. — Nie słyszeli tego także ani Hipolit Skimborowicz, ni też Edward Dembowski.

— Tak, tak, on za wiele pisze -- powtórzył jeszcze pan Albert.

— Ale. jeżeli to jest koniecznością dla jego serca i duszy! Jeżeli tego widzi potrzebę... a umysł jego i jego siła twórcza spocząć mu nie dadzą? -- rzuciłam szybko i odważnie.

Pan Albert spojrzał się na mnie.

— Może łatwo wyczerpnąć tę siłę, pisząc za wiele, pani! odrzekł pochylony ku mnie — wypisze się prędko, zużyje, to i szkoda go będzie.

— Och nie, nie wypisze się! — zawołałam znowu — jest tam podobno zasób ogromny, miłość ludzi wielka... ztąd i potęga .. tchu mi zabrakło.

— Więc mu tego wiersza nie przesłać? — zapytał poeta dobrodusznie.

W milczeniu pochyliłam czoło. Przemówiła za tém pani Lewocka i wojewodzina także. Pan Albert złożył welin z uśmiechem.

Nie wiem, czyli wiersz ten był drukowanym. Czyli autor Sfinksa widział go kiedy?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

William Ewart Gladstone.

Dziwny zaprawdę kraj ta Anglja!... Oddzielona wązkim przesmykiem od stałego lądu, rozwija się jednak zupełnie inaczéj... Gdy na kontynencie każdy przewrot społeczny lub polityczny zbryzgany bywa krwią, gdy każdy krok naprzód, Europa okupuje bolesną reakcją, gdy stałego lądu narody starą skórę zdzierać muszą często wraz ze szmatami własnego ciała, Anglja zwolna, ostróżnie, spokojnie postępuje naprzód, a raz postąpiwszy, nie cofa się nigdy.

I Anglja nie ma bohaterów, nie ma nadzwyczajnych ludzi, nie ma Napoleonów, Aleksandrów, Piotrów Wielkich, Karolów XII, Fryderyków, ale ma ludzi rozumu, ma dobrych patrjotów jak Wilhelm III, jak Pitt, jak Robert Peel, jak Canning, jak Cobden, jak Gladstone.

Ludzie ci to nie gienjusze żadne, ani nawet postacie ze spiżu lane. Ale mają oni niesłychaną wyższość nad mężami stanu kontynentalnemi. A wyższość ta polega w tém, że umieją iść za prądem czasu, że duchowi epoki nie kładą się na zawadzie, ale owszem kierunek postępu chwytają w ręce i łagodząc tym sposobem szorstkość zbyt radykalnych pragnień, nawę państwa chronią zarazem od nieruchomości jak i od szalonego pędu.

Naprzykład Robert Peel, przyjaciel jego a czasem rywal Jerzy Canning, wreszcie uczeń obudwóch, Ewart Gladstone, z wychowania, z przekonań, ze stosunków, byli konserwatystami, torysami, a jednak im winna Anglja wszystkie prawie reformy, cały postęp swój, jakiego w ciągu pół-wieku dokonała.

Każdy z nich umiał poświęcić przekonania, których bronił, towarzyszy, z którymi szedł razem, stanowisko w swoim stronnictwie zdobyte, gdy spostrzegł, że opinja publiczna słusznie i sprawiedliwie domaga się postępu i zmiany.

W obec uporu i zaślepienia kontynentalnych mężów stanu, którzy nierozumnym oporem pchają narody do gwałtownych wstrząśnień, nie bez interesu może będzie bliżéj zapoznać się z mężem, który dziś stoi na czele wielkiego narodu, który w pełni sił i wieku dokonał już reform tak radykalnych, że dzisiejsza Anglja weszła na całkiem nową drogę społecznego rozwoju.

W ostatnich bowiem latach zaszła tam wielka re-

forma prawa wyborczego, zwiększająca liczbę wyborców o 1,119,000 na korzyść miast wielkich, co niesłychanie osłabiło przewagę arystokracji, która za pomocą małych miasteczek, od siebie zależnych, rządziła dotąd parlamentem; przewaga kościoła anglikańskiego w Irlandji zniesioną została; nareszcie parlament rozbierał właśnie na ostatniéj sesji projekt reformy prawa agraryjnego w tejże Irlandji, zaczém naturalnie pójdzie prędzéj lub późniéj reforma tegoż prawa w Anglji i Szkocji, a więc przewrot radykalny stosunków kastowych i społecznych.

Jednym z mężów, który najpotężniéj się przyczynił do przeprowadzenia tych reform, który je dziś w życie wprowadza, jest Sir Ewart Gladstone, którego życie i charakterystykę choć pobieżnie skréślić tu chcemy.

Wyniesienie się dzisiejszego prezesa gabinetu londyńskiego, pierwszego lorda skarbu, dyrektora Galerji narodowéj portretów, członka instytutu francuzkiego itd. nie przedstawia bynajmniéj przykładu jednéj z owych świetnych, uderzających karjer. Wyniesienie to poprzedziła długa, gorliwa praca, bo rozpocząwszy życie publiczne w 1832 r. dopiero w 1865 występuje jako przywódzca partji liberalnéj w parlamencie. Ale z drugiéj strony przyznać trzeba, że Gladstone nie potrzebował łamać przeszkód ani walczyć, że droga zasług i władzy stała dlań od razu otworem, że przed drzwiami nie potrzebował czekać ani chwili.

Ojciec jego John Gladstone, jeden z królów Liverpoolskiego mieszczaństwa, człowiek bardzo bogaty i wpływowy, przyjaciel osobisty Jerzego Canninga, z dzieciństwa już najmłodszego z trzech synów Ewarta, przeznaczył do życia publicznego, i dwunastoletniemu chłopięciu kazał się nieraz popisywać przed mężami stanu ze znajomością konstytucji i praw państwowych.

Zresztą młody chłopiec najświetniejsze zapowiadał nadzieje. Bystry, wymowny, bardzo miłéj powierzchowności, o manierach prawdziwego gentelmena, był ulubieńcem profesorów i w uniwersytecie Oxfordzkim najpierwsze otrzymał nagrody.

Arystokracja angielska ma tę także oprócz innych, zaletę, że zdolności wykwitłe wśród innych warstw społecznych, chętnie bierze w opiekę, przyswaja je sobie, adoptuje niejako

Młody téż Gladstone, wychowany zresztą w konserwatywnych zasadach ojca, stał się od razu faworytem lordów i za protekcją jednego z nich, księcia de Newcastle, został przez wyborców maleńkiéj mieściny Newarku wysłany do parlamentu.

Stało się to w r. 1832, a młody poseł, który się rodził w r. 1819, miał wtedy lat 23.

Gladstone długo i cierpliwie wyrabiał sobie stanowisko w parlamencie i w opinji jako człowiek polityczny. W roku 1838 dopiéro powiedział pierwszą mowę obszerniejszą, jednakże już w 1835 r. Robert Peel oceniając zdolności młodzieńca, powołał go do gabinetu, powierzając mu skromną posadę **lorda juniora** skarbu a następnie sekretarza bióra kolonji,

Ale już w 1842 r. tenże sam Peel powołany do władzy, by przywrócić równowagę finansów, zachwianą przez ministerstwo wigów, robi Gladstona wice prezesem bióra handlowego, a co ważniejsza, powołuje go na współpracownika wielkich reform finansowych, których wtedy dokonać zamierzył.

Peel w owym czasie zaproponował wznowienie sławnéj **income-tax** (podatek od dochodów) a z drugiéj strony zniżenie lub zniesienie rozmaitych ceł. Projektu tego bronił w komitecie Gladstone i zadziwił wszystkich niesłychanie dokładną znajomością stosunków handlowych Anglji.

Do dziś téż dnia Anglicy uznają go; sam Gladstone ma się za ucznia i kontynuatora finansowego systemu Roberta Peela.

System ten nie dąży do tego tylko, żeby wynaleść nowe dochody, lub zmniejszyć ciężary, ale by rozumnym, sprawiedliwym, racjonalnym rozkładem tych ciężarów wywołać jak największą produkcję, jak najpotężniejsze zasoby bogactwa narodowego.

Nie chodzi mu o interesa marynarzy, ani kupców, ani rolników, ani robotników, ale o interesa narodu całego, wszystkich warstw, kast i stanów jego.

Jak wiadomo, Robert Peel, ten ukochany **leader** torysów, w ostatnich latach swego życia, powodowany rozumem i miłością ojczyzny, wymusił na swéj partji wielką reformę zbożową, znoszącą cło od zboża zagranicznego, co naturalnie było pewną niewygodą dla właścicieli ziemskich, ale zarazem olbrzymiém dobrodziejstwem dla reszty narodu.

Torysi jednak i konserwatyści nie darowali mu tego do śmierci, nazywając czyn ten wielką zdradą stronnictwa. Gladstone, który wiernie się trzymał znakomitego człowieka, zaczął już także tracić łaski lordów, i w 1847 r. już nie otrzymał protekcji lorda Newcastle, na czém jednak zyskał tylko, bo był wybrany przez uniwersytet w Oxford.

Mimo to jednak liczył się on zawsze do torysów umiarkowanych, i dopiero w 1852 r. zerwał z nimi zupełnie, a w 1853 jako członek gabinetu lorda Aberdeen przedłożył pierwszy budżet.

Odtąd Gladstone brnął coraz daléj w liberalnym kierunku, popierał reformę wyborczą, przeprowadził bill o kościele irlandzkim, przedstawił inny reformujący z gruntu istniejące tam stosunki rolnicze, a do ministerstwa powołał Brigtha, który uchodzi za radykalistę i trybuna ludu.

(Dokończenie nastąpi.)

Korespondencja z Krakowa.

Kraków, w grudniu 1870.

Rozpoczynając szereg moich korespondencji, chcę w dzisiejszym liście dać Wam ogólną charakterystykę Krakowa — niech to na wstęp posłuży.

Na przybyłych do Krakowa z większych miast robi ten stary gród wrażenie martwoty, głuchéj ciszy, spokoju, przerywanego tylko czasem wydarzeniami mającemi minę nadzwyczajności. Sądziłby każdy, że w mieście liczącém 50 tysięcy mieszkańców, położoném w pięknéj okolicy, w grodzie bogatym w pamiątki przeszłości i świetne wspomnienia cicho i błogo być musi, że każdy pracą zajęty, nieodrywany ruchem, jakim tchną wielkie miasta, pędzi życie spokojne skierowane jedynie ku dobru powszechnemu. Tymczasem na grobach wielkiéj przeszłości roi się gniazdo robactwa, które toczy z zaciekłością każde ziarno ręką Opatrzności rzucone na bardzo urodzajną niwę Ledwie, że zakiełka latorośl, a już nieprzyjaciele czychają na jéj zgubę. Stronnictw i koterji co niemiara, ktoby chciał samodzielnie z czemś wystąpić, napotka tyle zawiści i zazdrości, że jeżeli to nie jest mąż charakteru żelaznego, uledz i przyczepić się musi do któréj partji, aby za pomocą niéj wypłynąć.

Odliczywszy z powyższéj liczby krakowskich mieszkańców 20 tysięcy żydów, którzy się tylko handlem lub innemi interesami materjalnemi zajmują, odjąwszy drugie 20 tysięcy na ludność oddaną wyłącznie zarobkowaniu aby wyżywić siebie i rodzinę, ów proletarjat, który się po za kołem swoich potrzeb zewnętrznych jedynie polityką zajmuje, pozostanie na tak zwaną inteligencją 10 tysięcy, którzy podzieleni na obozy, wszy-

stko czynią, co stanowi ruch umysłowy Krakowa. Ci czytują wszelkie czasopisma, chodzą do teatru, na koncerta, tworzą towarzystwa, zajmują urzędy, dzierżą wszelkie godności, zasiadają na katedrach profesorskich itd. Do téj liczby należy duchowieństwo, słowem wszystko, co żyje życiem publiczném, i na czém spoczywa cała odpowiedzialność za czyny miasta. Przy takim podziale obowiązków byłaby to jeszcze dość potężna liczba, gdyby składający ją ludzie działali; lecz niestety, marnieją ich siły na najzaciętszéj walce między sobą, a gdy przyjdzie się czém pochwalić, wychodzą dopiero imiona ludzi rzetelnéj pracy, których człowieczkowie władający opinją, członkowie różnych towarzystw kiedyindziéj nie znają.

Walka koterji wre namiętnie, posunięta aż do cynizmu, jedna drugą czerni, potwarza; ztąd pochodzi, że kto się tu chce szczerze oddać swemu zawodowi, musi się oddzielić od owéj rzeszy gadatliwéj, która za to mści się szyderstwem.

Pominąwszy politykę, którą się Krakowianie mocno zajmują, jest wiele innych kwestji żywo dotyczących miasta, które się jednak nieżywo wloką, — o czém potém; tymczasem napomknę o bieżącém życiu Krakowa. Muzy rozsiadły się wspaniale na omszonych murach naszego grodu, bo nawet scena dramatyczna uśpiona brakiem sił pierwszorzędnych, odżywiła się w tym czasie przybyciem, na wystąpienia gościnne, pani Rakiewiczowéj. Miłośnicy teatru zachwycają się jéj grą i śledzą różnic między p. Modrzejewską, a ostatnią. Obie artystki zaszczytem są Krakowa, bo obie Krakowianki dzierżą godnie berło pierwszeństwa w dramacie, na obszarze całéj Polski.

W świecie muzycznym ruch niespodziewanie się objawił, młodzi kompozytorowie, jak p. Hoffmann, płody swego talentu i nauki przedstawiają szerszéj publiczności z wielkiém uznaniem. O operetce p. Hoffmanna pod tytułem „Żacy Krakowscy“ wkrótce obszerniéj napiszę. Malarstwa, którém się tak dziś chlubi Kraków, śledzić trzeba po pracowniach artystów, gdyż z wystawy Towarzystwa Sztuk Pięknych mdłeby można mieć pojęcie o artystach krakowskich, bo co najznakomitszego idzie szukać sławy i sprzedaży za granicą. Tak samo osądziłby ktoś świat naukowy literacki, gdyby owoców pracy i nauki szukał pośród krzykaczy, którzy ciągle o sobie mówią, a najmniéj czynią. Wszędzie ich pełno, tylko nie tam, gdzie fałdów przysiedzieć trzeba; ztąd to wywodzi się owa obojętność w kwestji rozdania nagród z fundacji księcia Lubomirskiego. Któż miał rozprawiać i stawiać wnioski po dziennikach względem nagród, gdy pokolenie nowe dziełami naukowemi się nie zajmuje wcale. Młodzież akademicka z naukowych prac czyta to, co musi, aby zdać egzamina, zresztą jeżeli weźmie książkę do ręki, to powieść, która dla nich tém lepsza, im skandaliczniejsza.

Od ksiąg do tego co ma z niemi styczność, a więc do klubów, resurs i stowarzyszeń, gdzie po większéj części inteligencja się zbiera, krok jeden. Przechodzę więc do ostatnich bez dłuższych omówień.

Obecnie są w Krakowie trzy resursy: magnacka w Krzysztoforach, mieszczańska naprzeciw Śgo Wojciecha, wegetująca od czasu, gdy z jéj zarządu wystąpił Walery Rzewuski, a którą, jak się zdaje, pochłonie „Postęp“, stowarzyszenie rzemieślnicze. „Postęp“ tracąc cechę wyłączności jednego stanu, powoli przyciągnie do siebie inne warstwy mieszkańców.

Towarzystwo Naukowe rzeczywiście zjednoczyłoby w sobie żywioły prawdziwéj inteligencji, gdyby nie więzy, które nań nałożył duch biórokratyzmu. Krępuje on swobodę, życie, tamuje przystęp nowym siłom, a do tego odstrasza niejednego 12 guldenów rocznego podatku, jaki członkowie składać winni, gdy jak wiadomo, w Polsce ludzie naukowi zamożnością materjalną nie grzeszą. Z tych przyczyn potworzyły się przy Towarzystwie Naukowém komisje, np. fizjograficzna, historyczna, do których wchodzą ludzie także z poza koła Tow. Nauk. obowiązani tylko do nabywania roczników. Życie przeniosło się do komisji, a Towarzystwo chlubi się ich pracą i owocami. Nieraz już na posiedzeniach Tow. Nauk., przychodziła pod obrady kwestja przyjmowania osób na członków, do czego dawały powody indywidua, nie wiedzieć jakim sposobem tam przemycane, których dzieł kiedyś śledzić ktoś będzie nadaremnie; ale poruszenie téj sprawy pożytku nie przyniosło. Rzec można, że utrudniono przemytnictwo, ale zarazem świeżym siłom wstęp zagrodzono.

Najwięcéj krzyku a najmniéj pożytku przynosi Towarzystwu Nauk. wydział archeologiczny. Badania jego członków mało kiedy cel osięgają. Przypadek odkrycia zwłok Kazimierza W. spadł na nich, jak grom. Szczątki wielkiego króla uważać chcieli za swoją własność, za przedmiot jedynie godny ich studjów, podczas gdy naród ujrzał w nich relikwie wielkiéj swéj przeszłości, o co trzeba mu było stoczyć walkę z archeologami, aby ocalić świętość i nietykalność drogich resztek.

Właśnie w tych czasach innego rodzaju niemiła niespodzianka spotkała wydział archeologiczny; ogłosił bowiem snycerz tujeszy, Brzostowski, odkrycie ołtarza we wsi Książnicach, dzieła Wita Stwosza, o czém całe grono ich nic nie wiedziało, pomimo że konserwator zabytków przeszłości, Paweł Popiel, z dóbr swoich udając się do Krakowa, przez tę wieś zawsze przejeżdża.

Ważnych dla oświaty doczekaliśmy się teraz czynników. Najprzód uchwałą Rady szkólnéj we Lwowie wyrwany został z toni jedyny najlepszy instytut naukowy publiczny żeński przy klasztorze Św. Jana w Krakowie istniejący. Żywioły wsteczne zażartą toczyły walkę o zdobycie tego zakładu dla szerzenia ciemnoty i fanatyzmu. Odtąd szkoła Św. Jana ma się stać przybytkiem nauki i służyć oświacie, a przestanie być polem intryg. Jedynie zagrożenie odebraniem funduszów, spowodowało wyswobodzenie instytutu z pod rządów konsystorjalnych.

Drugą ważną sprawą dla oświaty jest ogłoszenie ustawy, dawno upragnionéj o utworzeniu w Galicji seminarji nauczycielskich męskich i żeńskich; Krakowowi dostały się obie instytucje, mezka i żeńska i podobno zaraz od półrocza mają one wejść w życie.

Z różnych towarzystw, jakie się u nas zawiązały, do najpożyteczniejszych należy tak zwane Sybirackie. Niedość, że cel piękny, ale to ważne, że jego zarząd spoczywa w rękach gorliwego komitetu, a szczególniéj prezesa, Wiktora Bylickiego, który się losem towarzystwa całą duszą zajął.

Tyle na dziś... Późniéj nieco rozpiszę się szerzéj o naszym grodzie, który zkądinąd słusznie uważać się może za serce Polski. A dopatrzyć ran na tém drogiém dla narodu sercu jest obowiązkiem każdego Polaka. Lekarz nim poda środki zaradcze, pierw bada stan chorego. A Kraków znajduje się obecnie w takim stanie.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Uwziąłem się nie zaczynać od apostrofy do gwiazdki i do Nowego roku. Sakramentalna ta formuła wabi mnie jednak wszystkiemi swojemi ponętami. Z wystaw spoglądają na mnie kokieteryjnie podarki gwiazdkowe

słodkiemi ustami milą się grupy cukierków, choiny trzęsą zieloną czupryną. Same pod pióro płyną cudne obrazy familijnego szczęścia — radosne okrzyki dzieci na widok błyszczącego złotem i światłem drzewka, — ciepła atmosfera rodziny owiewa moją samotną pochyloną głowę. I myślę sobie jak wieje wicher i śnieg sypie na dworze — jak pusto i ponuro u mnie, i przypomina mi się mimowoli jakaś północna, poważna legenda o dziecku patrzącém przez szparę bogatego domu na stół wiljowy. Co ja sobie myślę! Precz ze smutkiem. Nicchrześcijański to i nieproszony gość przy uczcie świątecznéj. Chyba te rodziny, które kogoś ze swoich się nie doliczą, zobaczą na jego miejscu owego wybladłego gościa.

* * *

Smutno jest przed tą bramą nadziei, która się nazywa Nowym rokiem, zakończyć swoją drogę!... Zakończyli ją dwaj ludzie różnéj narodowości i rozwoju działania, którzy jednak obadwaj znaczną próżnię po sobie zostawili. —

Mówię najprzód o Aleksandrze Dumasie. Sędziwy romansopisarz — w chwili wyrocznéj walki swojego narodu zmarł w Dijon. Sześćdziesięciosiedmioletnia jego działalność miała fazy olśniewającego blasku. Na czele romansu historycznego we Francyi stojąc, nauczył sam, jak powiada Emile Girardin, więcéj historji, aniżeli wszyscy profesorowie Francji i Nawarry. Stronny to jednak trochę wykrzyknik, u Dumasa dzieje były nieraz sługą sytuacji romansu; ztąd prawda historyczna na korzyść efektu pokrzywdzoną często bywa. Bądź co bądź, płodność tego talentu wywołuje podziwienie, — obsypała go ona miljonami, które umiał czarująco zjadać. Był to przedewszystkiém pisarz niesłychanie zręczny. Umiał służyć chwili, i chwila zapłaciła go sowicie. Dawnaż to epoka — kiedy Montechristo i trzéj awanturniczy Muszkietorowie zajmowali cały świat czytający, a dzisiaj... że powtórzymy słowa Kremera mijającego wyspę Montechristo: „Czysta ironja sławy. Na samo to imię przebudziła się we mnie pamięć o wrzaskliwéj sławie onego powieściopisarza, którego romanse dopiéro co tysiące a tysiące czytelników olśniły, a dziś poszły w zapomnienie, jakby ich nigdy nie było na świecie. Dziś patrzymy na te kupy sfabrykowanych tomów, jakby na okopciałe kółka, kije i drągi z wczorajszego fajerwerku.“

Mniéj głośny, daleko mniéj uposażony od fortuny, cichy pracownik Zenon Fisz (Padalica) odszedł po swoją zapłatę. — Już od dwóch lat dotknięty śmiercią moralną — obłąkaniem — przestał pisać. Dzieła jego za kordonem mało znane — jak wielu innych przez ten mur chiński przelecieć nie zdołał. Z rozczulającą pokorą przybrał sobie pseudonym: Padalica, który znaczy kłos ze ziarn wykruszonych urosły. Było z tego kłosa przecież dosyć zdrowego chleba!

Samouk, z twardym, nieoklaskanym uporem szedł naprzód.

W 16 roku już wydał dramat wierszem: „Konaszewicz w Białogrodzie“, którego autorstwo wziął dla siebie Hipolit Skimborowicz. —

Z właściwym sobie łagodnym humorem pisał jako współpracownik „Tygodnika Petersburgskiego“ i „Athenaeum“ artykuły jako to. „Szkice kontraktowe“ i „Noc Tarasowa.“

Niesłusznie napastowany przez księdza Hołowińskiego za książkę p. t. „Kilka myśli i kilka wrażeń Tadeusza Padalicy,“ zraził się na pewien czas od pracy, jednakże już w r. 1846 począł redagować pierwszy tom pisma zbiorowego „Gwiazda“.

W tym czasie zmuszony okolicznościami udał się do Petersburga, gdzie przepędził dwanaście lat życia a po powrocie ogłosił drukiem „Pokojówkę.“

Pilnych i ulubionych mu studjów nad Rusią owocem były: Małoruskie powieści Kuleszy w „Pamiętnikach umysłowych“ Adama Kirkora, przyjęte gorąco przez krytykę

W ciągu kilku lat następnych pracował pożytecznie dla Dziennika Warszawskiego i Gazety Warszawskiéj.

Ratując nadwątlone zdrowie, przyciśnięty smutnym procesem o ojcowiznę, wyjechał w 1856 do Francji, Włoch i Konstantynopola — a dwa lata późniéj do Odessy, Francji i w Pireneje.

Z wrażeń tego czasu pozostały (1856) „Opowiadania i krajobrazy“ 2 tomy, i „Listy z podróży“ (korespondencje do gazety Warszawskiéj 1859). Za granicą przesiadując, pisywał także do Kołokoła i pism innych rosyjskich w obronie Polski.

Urodzony 23. Czerwca 1821 na Białéj Rusi w okolicach Białynicz, zakończył cichy i pożyteczny żywot w listopadzie 1870.

Niech mu ziemia ojczysta będzie lekką!

* * *

Otrząsnąć się z cmentarnego smutku nekrologów — trzeba! Życie z tysiącem swoich zmiennych, jak bieżąca woda objawów dopomina się o swoje prawa. — Kiedy święta to święta.

Śpiewajmy hosanna! cieszmy się podarkami, od purpurowéj chusteczki, którą rozczulony robotnik swoją śniadą córeczkę uszczęśliwia — aż do całego szeregu kosztownych cacek, książeczek dla małego świata bogaczów. Ach! à propos książeczek. — Komitetowi czystości językowéj rekomendujemy wydania noworoczne Foltyna i Kellera itp. poczciwe przygody Genowefy — Ida na Tannenbergu — wszystkie książki przeznaczone dla mas, a wydane świeżo nakładem tych panów, zalecają się pięknością języka!

Radzimy przeczytać ciekawym Perłę Genui!! — I cóż dziwnego, jeżeli sam wydawca swoją znajomość języka przedmową tak świetnie rekomenduje. Posłuchajcie jak p. Foltyn, wydawca „sonetów i ballad“ Mickiewicza do przyszłych czytelników się odzywa.

„Aby naszéj młodzieży podać sposobność obeznania się z kwiatem naszéj poezji, przedsięwziąłem zrobić wyciąg z pism naszego najukochańszego poety Adama Mickiewicza, i dla dogodności i przystępu każdego takowe za mierną cenę rozpowszechniać zamierzam, bo poezja jest to duch kształcący mowę i czucie; dla tego moje dążenia ten cel prawdziwy mają, owego sławnego poetę naszego wieku do rzędu niemieckich wysławionych autorów: Schillera, Göthego i innych postawić aby się duch jego od pałacu do najbiédniejszéj chaty rozniósł“. — Takiéj gwiazdki nie dałbym mojemu bratu. —

* * *

Królewski prawdziwie podarek dostał się Teatrowi. Hojny i rozumny patrjotyzm p. Bolesława Potockiego z Będlewa, uposażył nową instytucję ofiarą w wartości 30 tysięcy talarów. Czyn ten, dobrze zasłużony narodowi, da Bóg podniesie wkrótce mury nowéj budowli, któréj westchnienia komitetu teatralnego stworzyćby nie mogły. A czas już wielki! Dyrekcja dźwiga się z wysileniem do téj szczęśliwéj przyszłości. — Należy się jéj poparcie, aby „nim słońce wejdzie rosa oczu nie wyjadła.“

* * *

Tą ideą życzliwości nie zdaje się być kierowanym szanowny korespondent do Dziennika Literackiego z Poznania. W niepojętém rozdrażnieniu, rozdaje on ślepe razy na prawo i na lewo. Nic się nie ostoi przed jego tępą werwą. Z odwagą, godną awantury gordyjskiego węzła, rozcina wszelkie przeszkody. Mniejsza już o postacie godniejszych przeciwników, mniejsza o p. Cezara, z którego talentu nawet po takiéj szarpaninie zostanie jeszcze dosyć, — ale cóż uczynili szanownemu korespondentowi pokorni statyści tutéiszego teatru. Jeżeli

szanowny korespondent wypędza te osoby wnoszące listy i tacki — niezbędne na scenie — przez kogoż je chce zastąpić?

Źle jest nam napastować w ten sposób nieznajomego rycerza, w którym nawet „Tygodnik“ przyjaciela spostrzega, ale — amicus Plato sed magis amica veritas. Dyrekcja była niesprawiedliwie napadniętą.

Z innéj strony atakując ją, szanowny korespondent miałby słuszność. Chcemy tu mówić o nieodpowiednim rozdziale ról, o którym już w poprzedniéj kronice á propos p. Krasowskiéj wspominaliśmy.

Teraz chodzi nam o p. Zboińskiego, którego talent zużywa się na podrzędnych rolach, jakie od pewnego czasu mu powierzają.

Chodzi nam także o Marję Leszczyńską, w któréj postać „Marji“ najniewłaściwiéj powierzona pani Doroszyńskiéj, z pożytkiem oddaną by być mogła przez p. Hennemann — tak dobrze poleconą w „Podróżomanji.“ — Istotnie mamy prawie pokusę zapytania się, gdzie schowano tę artystkę. Widzieliśmy ją mimochodem, jako siostrę Modestę, mówiącą słów dwadzieścia. — Szkoda to dla publiczności i teatru To też publiczność ta mająca nikiedy prawa reżyserskie, z słusznością użyć ich może tutaj, gdzie chodzi o zapoznanie się bliższe z artystką, która przy pierwszym występie tak sympatyczny talent, jak p. Hennemann objawiła — Niech nam pozwolą przekonać się, czy pierwsze wrażenie nie było mylne. W.

MARSYLJANKA.

Był niegdyś młody oficer inżynierji w Strasburskiéj załodze; nazywał się Rouget de l'Isle. Rodem był z Lons-le-Saulnier w Jura, siedlisku marzycielstwa i energji, jakiém zwykle bywają góry. Młodzieniec ten kochał wojnę jak każdy żołnierz, rewolucję — jak każdy myśliciel... Mile przyjmowany we wszystkich towarzystwach jako muzyk i poeta, był on także codziennym niemal gościem w domu barona Dietricha, Alzatczyka, należącego do stronnictwa konstytucyjnego, przyjaciela Lafayetta — burmistrza Strasburga Żona barona Dietricha, młodzi jego przyjaciele podzielali ówczesny zapał patrjotyczny i rewolucyjny, wrzący najsilniéj nad granicami, podobnie jak drgnienia ciała najmocniéj czuć się dają kończynom.

Idee te ukochały młodego oficera, natchnęły jego serce, jego poezję i muzykę.

Było to w zimie 1792 roku; głód panował w Strasburgu. Dla Rouget de l'Isle dom Dietricha zawsze był otwartym; siadał u jego stołu jak syn lub brat rodziny. Pewnego dnia, gdy podano tylko chléb razowy i kilka kawałków wędzonéj szynki, Dietrich spojrzawszy na gościa z pogodnym choć smutnym uśmiechem, rzekł:

— Naszym ucztom brak obfitości, ale mniejsza o to, gdy nie brak zapału w czasie narodowych naszych obchodów i odwagi w sercach naszych żołnierzy. Mam jeszcze ostatnią butelkę reńskiego wina w spiżarni, niech ją podadzą; wypijem ją na cześć wolności i ojczyzny! Wkrótce Strasburg ma obchodzić uroczystość patrjotyczną, niechże l'Isle w ostatnich kroplach tego napoju poszuka natchnienia do jednego z owych hymnów, co to ducha ludów doprowadzają do upojenia z jakiego powstały.“

Kobiety pochwyciły tę myśl z zapałem, przyniesiono wino, napełniono szklankę Dietricha i młodego oficera. —

Późno już było, noc była przejmująco zimna; de l'Isle był rozmarzony, serce mu biło silnie a głowa paliła. Chłód go owionął; chwiejącym krokiem wszedł do swego samotnego mieszkania; tu zaczął szukać natchnienia na przemian to w uczuciach, jakie miał dla kraju to w strunach swego instrumentu, to tworząc arję ze słowami, to słowa z arją, a słowa i nuta tak zrastały się z sobą w jego myśli, że sam nie wiedział co pierwéj powstało śpiew czy poezja i że niepodobieństwem było oddzielić muzykę od słów a myśl od melodji. — Śpiewał wiele ale nic nie pisał.

Wreszcie zmęczony usnął, wsparłszy głowę o fortepian i zbudził się dopiéro nad ranem. — Z trudnością zdołał sobie przypomnieć nocne improwizacje — stawały przed nim niejasne jak senne marzenia; spisał je wreszcie i pobiegł do Dietricha. Znalazł go w ogrodzie — żona mera spała jeszcze. Dietrich ją zbudził, wezwał kilku przyjaciół, jak on rozmiłowanych w muzyce i zdolnych do wykonania utworu de l'Isle'a. Jedna z kobiét usiadła do fortepianu, Rouget zaczął śpiewać.

Przy pierwszéj strofie twarze obecnych pobladły, podczas drugiéj łzy płynęły z ich oczu, ostatnie doprowadziły ich do najwyższéj ekstazy zapału. Dietrich, żona jego, młody oficer — z płaczem ściskali się wzajemnie.

Pieśń narodowa istniała! Niestety miała się ona wkrótce stać pieśnią terroryzmu.

Nieszczęśliwy burmistrz Strasburga w kilka miesięcy później szedł na rusztowanie przy brzmieniu pieśni, zrodzonéj u jego ogniska, z serca najlepszego jego przyjaciela.

Hymn wykonany w Strasburgu, przebiegł był wszystkie miasta Francji, powtarzany przez każdą ludową orkiestrę. Marsylczycy, rozprzestrzenili pieśń tę po kraju, śpiewając w czasie swego pochodu; ztąd dano jéj nazwę Marsyljanki

Stara matka de l'Isle'a, rojalistka i nabożna, przerażona rozgłośną pieśnią syna, pisała mu: „Cóż to za hymn rewolucyjny śpiewa ta horda rozbójników; i dla czego do niéj mięszają nasze nazwisko?“ — De l'Isle sam skazany na wygnanie jako federalista, z przerażeniem usłyszał ją gdy groźbą śmierci rzuciła za uciekającym w góry Jura.

— Jak nazywają ten hymn? — spytał swego przewodnika.

— To Marsyljanka! odpowiedział mu wieśniak.

W takich okolicznościach dowiedział się imienia, jakie jego utworowi nadano.

Ścigał go tenże sam zapał, który zasiał po za sobą. Z trudnością udało mu się uniknąć śmierci; broń zwracała się przeciw ręce, co ją kuła. Rewolucja w szale upojenia nie rozumiała już własnego głosu!...

z Lamartine'a.

Kilka słów o literaturze rossyjskiéj.

Dzisiejsze młode pokolenie rosyjskie, zajęte kolejami żelaznemi, parowemi statkami, grą w karty i na giełdzie, nie ma czasu na poświęcenie go literaturze, tém bardziéj gdy ta nic nie przynosi. Ruski Goniec miał w czasach najlepszych 4000 prenumeratorów, a dla pozyskania kilku kopiejek za wiersz, nikt nie chce pisać. Prawie każdy zaledwie opuściwszy szkoły, stara się jak najprędzéj zapomnieć, czego się w nich nauczył. Rząd

ze swéj strony ma co innego na myśli, aniżeli wspieranie nauk i piśmiennictwa. — Wówczas, gdy tłomacz Horacego na wiersz rossyjski, ofiarowawszy swą pracę carowi, nędznym pierścionkiem został udarowany, panna Patti otrzymuje order zasługi, przynoszący jéj znaczny dochód i kosztowną bransoletę: Markiza de Caux, przyjmując ten podarek z wdzięcznym uśmiechem widziała w nim zasłużone uwieńczenie swego talentu. Ściany teatru drżą od oklasków, gdy występuje słynna śpiewaczka lub tancerka, ale prelekcje publiczne niewielu miewają słuchaczy. Puszkin i Gogol nie mają następców. Niekrasow jest poetą drugiego, Fet i Maj trzeciego rzędu, a żaden pisarz nie wytrzyma porównania z Grybojedowem.

Jan Turgenjew mieszka sobie teraz w Baden i pisze nowele, jedną słabszą od drugiéj. Jego „Opowiadania myśliwca„ podobały się tak w Londynie jak w Paryżu, ale „Szlacheckie gniazdo“ ma zbyt wiele miejscowego kolorytu, ażeby mogło zyskać wziętość za granicą. Jego „Dmitry Rudin“ jest nowelą polityczną bez siły i podstawy.

Hrabia Tołstoj znalazł wiele sympatji w publiczności! „Książę Srebrny“ jest płodem narodowym, odpowiadającym najsurowszym wymaganiom, o wartości „Iwana Groźnego“ podzielone są zdania, a „Moskwa w r. 1811“ ogólnie niezbyt się podoba.

Za romanse Awdujewa płacą wysoko. — Ostrowski zajmuje zaszczytne miejsce na rossyjskiéj scenie.

Hrabina Rostopczyn umarła, dobywszy z hrabiowskiéj liry w ostatnich chwilach odmiennych całkiem dźwięków od początkowych*).

Książę Piotr Wiaziemski, weteran rossyjskiéj poezji, rozpoczął swój zawód w „Gwieździe polarnéj“ od roku 1822—24, a jego „Rossyjski Bóg“ uważa się dotąd za najlepszy polityczny poemat, nalepiéj też charakteryzujący Rossją. Niestety, Książę Wiaziemski był na początku panowania Aleksandra II pomocnikiem ministra oświecenia, Norowa, i na tém to stanowisku uzyskał imię „Boga rossyjskiéj cenzury.“

Któż nie zna tak popularnéj „Trójki“ barona Delwega; lecz pieśń księcia Wiaziemskiego na ten sam temat jest tryumfem rossyjskiego języka.

„Trójka pędzi, trójka goni, pył się wije pod kopytem, dzwonek smutnym płaczem dzwoni, i po drodze, hałaśliwie, ostry dźwięk ten się rozlega, w oddaleniu brzęknie czysto, i zajęczy głucho znów. Niby bies wtóruje wiedźmie i odkrzyka sie z nią wzajem lub rusałka hałasuje, pomiędzy trzcin dźwięcznym gajem. Stepów russkich, nocy ciemnéj, poetycznych mar i tchnień, tajemniczych myśli wiele i swobody wiele tam. Spłynął miesiąc z poza chmury, lśniący pierścień swój zawinął i posypał blask iskrzysty wędrowcowi prosto w lice. Kto wędrowiec ten, zkąd idzie, droga jego czy daleka czy on wolą, czy niewolą pędzi teraz w nocną dal? Na wesele, czy na troskę, czy do bliskich, czy do chaty, czy w obczyznę może smutną spieszy on, gołąbek mój? Serce się w nim dziko zrywa, w drogę naprzód, czy w powrotną? Na spotkanie czeka? Próżno! Żal mu tego, co porzucił. Czy go pierścień ślubny czeka, uczty świetne, radość, gwar, czy pochodnia pogrzebowa ponad siostry swéj mogiłą? Któż to wie? On już daleko — miesiąc w chmurze się utopił i głęboko w pustéj dali zasnął dzwonek utulony.“

„Katarynka“ przez H. N. jest żrącą krytyką całego ustroju rosyjskiego państwa.

„Przez lat trzydzieści włóczył się staruszek ze swą katarynką. Przywykł do kręcenia jéj, kręcąc od rana do wieczora. Nie można było być mądrym z téj muzyki, choć się składała z trzech oklepanych piosnek. Jedna wysławiała cara, druga strasznie przestarzała, — cześć ojczyzny, a trzecia ortodoksją.“

Za granicą zjednał Puszkinowi przedruk zakazanych poezji, imię wielkiego wroga despotyzmu.

„Nienawidzę cię i twój ród, samowładny złoczyńco!“ Ogarew nie napisał nic lepszego nad „Humor.“

Hrabia Włodzimierz Sołłohub opisał wierszem panowanie Aleksandra II.; natchnęły go: pokój paryzki i upadek Polski.

Rossja wyświadcza zmarłym autorom wiele czci. Karamzyn ma pomnik w Symbirsku, a ponieważ biblioteka, nosząca jego imię, spłonęła wraz z miastem, przeto zebrano już nową. Żukowski ma posąg, a w Bielejewie zakupiono jego dom. Puszkinowi wystawią pomnik w Carskiém Siele, gdzie się kształcił w liceum. W Woroneżu stoi pomnik, poświęcony Kolcowowi, który z pasterza został sławnym piewcą. Lecz biust jego tak jest mały, że go ulicznicy w nocy obrócili na drugą stronę, i zupełnieby go byli mogli unieść. Piedestał jest z marmuru, lecz płyty jego już popękały.

Bajkopisarzowi Kryłowowi wystawiono pomnik w letnim ogrodzie, w najstosowniejszém dlań miejscu, gdzie się dzieci bawią. — Łomonosow ma posąg w Chołmogórkach, gdzie się rodził.

Zbiegiem dziwnego kontrastu często ciż pisarze umierają z głodu. Istnieje wprawdzie towarzystwo, mające na celu wspieranie uczonych i literatów, lecz pomaga tylko ludziom, nie mającym rozgłosu, choć od cesarzowéj niemal corocznie pobiera 300 rubli dodatku.

W Rossji nadużywają bardzo porównań. Lermontowa nazwano Goethe'm rossyjskim, co by mu więcéj mogło zaszkodzić, niż dopomódz. Puszkin prędzéj podobnym jest do Byrona, choć nie ma jego sentymentalności. Ani Bułgaryn nie był przecież rosyjskim Vidocq'iem — przeciwnie w swéj krytyce „Mojéj podróży do Szwecji“ prosi mnie abym nie uwierzył temu, że jestem rossyjskim Chateaubriand'em.

W Rossji, gdzie nisko cenią życie kilku kroć stu tysięcy żołnierzy, nic sobie nie robią z jednego pisarza. Czemżeby w takich warunkach stała się Francja bez Voltaire'a i Rousseau'a, Niemcy bez Schillera i Goethe'go?

Pisarew obudził nadzieje, które wczesna jego śmierć zawiodła. Trzy czy cztery pisma miesięczne umieszczają równocześnie tłomaczenia z Wiktora Hugo, nie mając nic innego.

Hercen był człowiekiem wielkiego rozumu, lecz mimo to nie dociekł prawdy. Jego „Rozwój idei rewolucyjnych w Rosji,“ dowiódł tylko, że ich tam jest mało. „Z drugiego brzegu“ stawia system agraryjny, jakiego się Europa nigdy chwycić nie może.

(wedle Gołowina.)

*) Z powodu poezyi „Mąż i żona“, w któréj dowodzi, że Polska z Rossją dla tego tylko żyje w niezgodzie, że się nie mogą porozumieć, wygnaną została do Moskwy. Cesarzowa spotkawszy się z nią u hrabiny Nesselrode, zaprosiła ją na bal; ale Mikołaj zaledwie ją spostrzegłszy, rozkazał oberpolicmajstrowi Ługinowi wyprowadzić ze sali. Tak grzecznie, zupełnie, jak Ludwik XIV.

Od Redakcji.

Wydając już po raz drugi półtora-arkuszowy numer, uważamy za potrzebne zawiadomić szanownych czytelników, że zamienienie nadzwyczajnych dodatków na stałe, zależeć będzie jedynie od wzrostu liczby prenumeratorów. — Wszystkim przedpłacicielom nadeślemy numer wstępny, w którym rozpoczęte są niektóre prace. — Przy téj sposobności zastrzega się Redakcja, że pozostawia bez zmiany właściwości językowe i stylistyczne uznanych autorów.

Odpowiedzialny redaktor Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.